

K A T E  
Q U I N N  
KLUB  
DZIKIEJ RÓŻY

Przełożyły  
Agnieszka Szmatoła i Marta Zielińska

Powieść *Klub Dzikiej Róży* jest fikcją literacką. Odniesienia do prawdziwych osób, wydarzeń, miejsc, organizacji mają na celu jedynie stworzenie pozorów autentyczności. Pozostałe postacie, wydarzenia, dialogi są wytworem wyobraźni i skutkiem zamysłu literackiego autorki.

Originally published under the title *The Briar Club*

Copyright © 2024 by Paul Wehmeyer Productions LLC  
Published by arrangement with HarperCollins Publishers. All rights reserved

Przepisy na miodownik i rązsolnik są autorstwa Natashy Kravchuk, bestsellerowej autorki „New York Times” i założycielki bloga Natasha’s Kitchen.

Copyright for this edition © Wydawnictwo WAM, 2024

Opieka redakcyjna: Agnieszka Ćwieląg-Pieculewicz

Redakcja: Anna Śledzikowska

Korekta: Maria Armatowa, Sylwia Kajdana

Projekt okładki: Mariusz Banachowicz

Skład: Lucyna Sterczewska

ISBN 978-83-2774290-2

MANDO

ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków

tel. 12 62 93 200

[www.wydawnictwomando.pl](http://www.wydawnictwomando.pl)

DZIAŁ HANDLOWY

tel. 12 62 93 254-255 • faks 12 62 93 496

e-mail: [handel@wydawnictwomando.pl](mailto:handel@wydawnictwomando.pl)

Druk i oprawa: LEYKO Sp. z o.o. • Kraków

Publikację wydrukowano na papierze Artis cream 70 g vol. 2.0

# PROLOG

---

## *Dzień Dziękczynienia 1954 Waszyngton*

Gdyby tylko ściany mogły mówić... Cóż, może i nie mówią, ale z pewnością słuchają. I obserwują.

Dom pod Dziką Różą – trzypiętrowy, wykończony cegłą – stanął na początku wieku. Od pięćdziesięciu czterech lat, obecnie już nieco podniszczony, góruje nad niższym placem. Widział trzy wojny, dziesięciu prezydentów i niezliczonych lokatorów... ale jeszcze nigdy nie był świadkiem morderstwa. Aż do dzisiaj. Teraz jego ściany przeszły zapachem indyka, dyniowej tarty oraz krwi i Dom jest w szoku aż po same fundamenty.

Jest zatem zszokowany i czuje dreszczyk emocji. Nie doświadczył bowiem podobnej ekscytacji od dziesiątków lat.

Morderstwo. W samym środku sielskiego, sennego Waszyngtonu z jego płotami ze sztachel! I do tego w Święto Dziękczynienia! Dom nie powinien być specjalnie zaskoczony, bo przecież odbyło się w nim tyle obiadów, że zdążył się już nauczyć, iż jeśli czasami w jednym miejscu zgromadzi się całą rodzinę, skropi ją zbyt dużą ilością ponczu i doda do tego skrywane urazy, może się to skończyć rozlewem krwi. Jednak scena, która dziś miała miejsce, i krew rozlewająca się od progu aż po strych...

Boże, ależ gratka.

Na podłodze pokoju na strychu leży ciało. Z gardła rozciętego niemal do kości wylewa się kałuża krwi. W sieni na dole śledczy notuje coś w kajeciku. W kuchni kręci się siedemnaście mniej lub bardziej zszokowanych osób: starzy i młodzi, mężczyźni i kobiety. Niektórzy płaczą, inni milczą. Niemal wszyscy jednak – o czym Dom pod Dziką Różą dobrze wiedział – ujrawszy całe to zdarzenie od przerażającego początku po jeszcze bardziej szokujący koniec, obawiali się, że właśnie oni zakończą ten wieczór w kajdankach.

Śledczy wchodzi do kuchni, jednakże nie zdoła porozmawiać z wynajmującą pokoje właścicielką, jako że ta doznała właśnie ataku hysterii. Dom trzepocze zasłonami, trzaska drzwiami i ogląda jeszcze raz miejsce zbrodni na najwyższym piętrze. Na zielonych ścianach pokoju misternie namalowano niegdyś ogromne kwitnące pnącze, ale teraz trudno stwierdzić, jakie konkretnie kwiaty kryją się pod bryzgami krwi. *To było naprawdę morderstwo w afekcie*, myśli Dom. Ręka dzierżąca *to* ostrze nie zawahała się ani na moment.

– Pani Nilsson, nie zidentyfikowaliśmy jeszcze tożsamości ofiary – mówi śledczy, a Dom kieruje uwagę z powrotem na kuchnię. – Przy ciele nie było żadnych dokumentów.

– Proszę sobie nie wyobrażać, że pójde tam na górę! Moje nerwy... – Pani Nilsson odtrąca gwałtownie szklankę wody, którą podsuwa jej nastoletni tyczkowany syn.

– Według wstępnych ustaleń śmierć nastąpiła między szóstą a siódmą wieczorem. Rozumiem, że była pani wtedy poza domem?

– Grałam w brydża. W czwartki zawsze grywam w brydża.

– Nawet w Święto Dziękczynienia? – Śledczy nie wygląda na przekonanego. *Gdybyś napatrzył się na tyle świątecznych nieprzyjemności co ja*, chce mu powiedzieć Dom, *dziwiłbyś się, że niektórzy ich nie unikają*.

– Okropne marnotrawstwo to Święto Dziękczynienia. Podaję moim pensjonariuszom na obiad indyka, co ewidentnie niektórym

nie wystarcza. – Pani Nilsson pociąga nosem i mierzy wzrokiem swego syna, który wciąż stoi ze szklanką w dłoniach. – Ten tu nawet palcem nie ruszy, żeby pomóc w kuchni własnej matce, ale gdy tylko Ta Kobieta oznajmi, że piecze indyka w *moim* piekarniku...

Dom pod Dziką Różą nie lubi pani Nilsson. Nie lubił jej od chwili, gdy przekroczyła jego próg jako panna młoda – zanim jeszcze porządnie wytrząsnęła ryż z włosów, już zaczęła narzekać, że korytarze są za wąskie (*Moje korytarze! Za wąskie!*) – i po dwudziestu latach nadal jej nie lubi. Podobnie zresztą jak cała reszta towarzystwa w kuchni, z czego Dom doskonale zdaje sobie sprawę. Ludzie nie są aż tak trudni do rozszyfrowania.

– Ciało odnaleziono w pokoju na trzecim piętrze, w tym z zielonymi ścianami. – Śledczy spogląda na notatki, tak więc umyka mu wskazówka numer jeden: to, jak pozostałych szesnastu świadków ukradkiem zerka na siebie w napięciu. *Świadców czy może podejrzanych?* – zastanawia się Dom, ponieważ wie coś, czego nie wie śledczy.

Zabójca znajduje się w tym pokoju.

– Pani Nilsson, proszę nam powiedzieć, kto wynajmuje ten pokój na ostatnim piętrze? – nalega nieświadomy niczego śledczy.

Właścicielka ponownie pociąga nosem, a Dom radośnie nadstawia ucha.

– Pani Grace March.

---

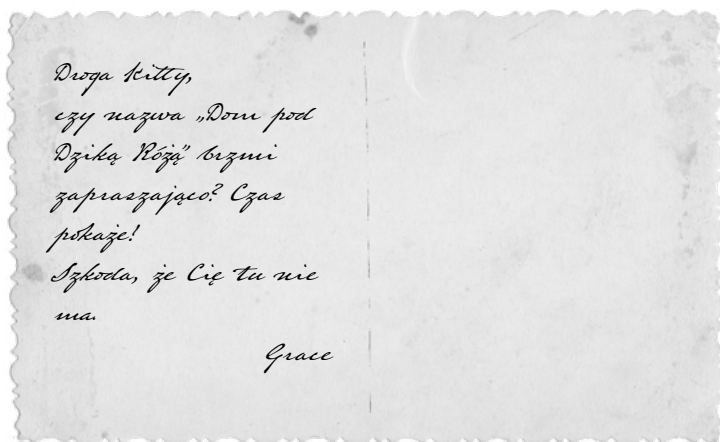
# CZTERY I PÓŁ ROKU WCZEŚNIEJ

---

*Czerwiec 1950*

I

PETE



Ulicę zalewały czerwcowe promienie słońca, zza pobliskich drzwi dochodziły jazzowe dźwięki saksofonu, gdzieś na Wzgórzu Kapitolimskim senator McCarthy wymachiwał listami członków partii komunistycznej, a do Domu pod Dziką Różą przybyła nowa przyjezdna. Jej cień padł na Pete'a, który klęczał właśnie na frontowym ganku i przybijał gwoździem trzepoczącą moskitierę. Pete spojrział w górę i ujrzał wysoką kobietę w czerwonym berecie na burzy złotobrazowych włosów.

– Dzień dobry – rzuciła miękko, z charakterystycznym dla Środkowego Zachodu przeciąganiem samogłosek. Wskazała znak na drzwiach. – Widzę, że macie wolne pokoje?

Pete podniósł się, upuszczając przy tym młotek. Chłopcu wydawało się, że jest bardzo czujny: spoglądał na ulicę sponad skrzynki z narzędziami, wyczulony na potencjalny hałas. Co prawda na placyku nie zdarzało się to zbyt często, no ale nigdy nie wiadomo. A gdyby jakiś obdarty łotr z gangu Warringa pojawił się zaraz obok, w klubie Amber, i teraz zmykał z workiem pieniędzy? A gdyby gliny przyjechały węszyć, wskazano by podejrzaną postać po drugiej stronie ulicy. *Chcecie wiedzieć, co się stało, pogadajcie z agentem z Domu pod Dziką Różą. Nic nie umknie Wystrzałowemu Pete'owi.* Wtedy Pete wstałby, strzepnąłby popiół z papierosa, poprawił swój wysłużony filcowy kapelusz i...

Zamiast tego kobieta podeszła do niego, gdy przybijał siatkę do drzwi. Niemal upuścił młotek wprost na jej związane wstążką espadryle.

– Mickey Spillane – rzuciła, wskazując brodą na kieszonkowe wydanie *Ja jestem sądem*, które Pete odłożył na frontowy ganek, gdy jego matka przyszła przypomnieć mu o moskitierze. – Ulubiony autor?

– Znaczy, ja... Tak, proszę pani. Jestem Pete – dodał prędko. – Pete Nilsson.

Uśmiechnęła się szeroko i się pochyliła, by podnieść młotek.

– W takim razie może mi pan powie, panie Przybijaku, czy mogę tu wynająć pokój.

I tak po prostu Pete się zakochał. Zakochiwał się wiele razy, od kiedy tylko skończył trzynaście lat – czasami w dziewczynach z klasy w Liceum Gompersa, ale najczęściej w Norze Walsh z pokoju 4A, po irlandzku miękko wymawiającej samogłoski, sporadycznie w Arlene Hupp z 3C z jej sprężystym kucykiem, ale ta dama w czerwonym

berecie należała do zupełnie innej kategorii. Wyglądała na jakieś trzydzieści pięć lat (wystarczająco dużo, by mieć ciekawą przeszłość), w ręce trzymała sfatygowaną walizkę, a jej doskonałą figurę z najdłuższymi nogami w Pensylwanii, jak zapewne uznałby detektyw Mike Hammer (bohater Pete'a), okalał płaszcz z wielbłądziej wełny.

Do tego nazwała go *Przybijakiem*. Natychmiast porzucił *Wystrzałowego Pete'a* i zapragnął unieść do tyłu rondo kapelusza oraz zaproponować: „Pozwoli pani, że ją oprowadzę”, ale niestety nie miał kapelusza, tylko starą bejsbolówkę z logo Washington Senators, a do tego z domu doszedł go ostry głos matki:

– Pete, z kim tam papłasz? Skończyłeś już te drzwi?

– Ktoś przyszedł wynająć pokój, mam. Pani... – Spojrzał za siebie, przypomniawszy sobie, że nie spytał kobiety o nazwisko.

– March. – Kolejny spokojny i rozbawiony uśmiech. – Pani Grace March.

Matka Pete'a wyskoczyła z mieszkania w pikowanej podomce, z widoczną irytacją na różowej twarzy. Gdy się przedstawiała, spojrziała obcesowo na nowo przybyłą.

– Dobrze usłyszałam? Pani, a nie panna? – W widoczny sposób chciała dojrzeć pierścioneńki ślubny pod białą rękawiczką pani March. – Prowadzę pensjonat wyłącznie dla panien, jeśli pani wraz z mężem...

– W zeszłym roku owdowiałam. – Pete pomyślał, że pani March wydawała się przy tym niezwykle spokojna.

– Dzieci? Mamy małe pokoje, bez miejsca...

– Nie, tylko ja. – Pani March stała, machając walizką, i Pete wyraźnie widział, że jego matce nie podoba się to, że jest od potencjalnej lokatorki o pół głowy niższa.

– Cóż, myślę, że może pani zostawić swój bagaż w kuchni. Pokażę pani pokój. – Pete wielokrotnie słyszał ów ton głosu swojej matki,



zawieszony pomiędzy powściągliwością i entuzjazmem: powściągliwością, ponieważ nie ufała nowo poznanym ludziom, entuzjazmem zaś, ponieważ nowi goście oznaczali pieniądze. Pete wiedział, że nie powinien źle myśleć o matce, niemniej wolałby, żeby w chwili, gdy zaprasza kogoś do swojego domu, brzmiała bardziej... no cóż, *serdecznie*. Pewnego razu, gdy słyszał, jak strofuje panią z 3B za pozostawienie wody w zlewie, spytał ją, czy nie wolałaby, żeby mieszkańcy ją lubili, na co cmoknęła z dezaprobatą: „Tylko ciemni martwią się, czy ktoś je lubi. Liczy się jedynie, czy zapłacą na czas”. Pete nie miał na to odpowiedzi czy może raczej wiedział, że w tej sytuacji lepiej się nie odzywać. Gdy coś odpowiadał, mama tylko besztła go z zaciśniętymi zębami: „Tym tonem bardzo przypominasz swojego ojca”. Pete Przybijak był gotów stawić czoło każdemu wyzwaniu, ale wystarczyło porównanie go do ojca i się kulił, jakby ktoś uderzył go w twarz.

– Czy życzy sobie pani filiżankę kawy? – spytał, otwierając pani March drzwi, na co matka spojrzała na niego z irytacją.

– To bardzo miłe. – Znowu uśmiech od nowo przybyłej. – Ale myślę, że po prostu pójdę obejrzeć pokój.

*Trudno to nazwać pokojem*, myślał Pete, gdy wchodził za matką po schodach. Był to bowiem raczej schówek na samej górze budynku z brunatnego piaskowca, zaraz przy podeście trzeciego piętra. Matka Pete'a postanowiła w tym roku, że może upchnąć tam jakąś osobę, więc Pete spędził ostatnie ferie na pozbywaniu się gratów, przybijaniu luźnych desek i przytасzczaniu malutkiej łódki, żeby matka mogła w opisie ogłoszenia pochwalić się aneksem kuchennym. Pete jednak nie sądził, żeby ktokolwiek zdecydował się mieszkać na tak małej powierzchni.

– Zdecydowała się – oznajmiła matka dziesięć minut później, spływając po schodach. – Zapłaciła też za pół roku z góry i sprawia wrażenie prawdziwej damy. Chociaż w dzisiejszych czasach to nigdy

nie wiadomo. – Aha, zanim to weźmiesz na górę... – Z tymi słowy otworzyła walizkę Grace March.

– Mamo! – zasyczał Pete. Czuł, że palą go uszy. – Nie cierpię, gdy to robisz...

– Nie bądź taki delikatny. Chcesz, żeby na strychu mieszkała ćpunka albo ładacznica? Albo *komunistka*. Lepiej sprawdzić zawczasu, zanim się tu zadamowi. – Pani Nilsson szybkimi i wprawnymi palcami przejrzała starannie poskładane bluzki i spódnice, pomacała duży szklany słoć najwyraźniej wypełniony nylonami, skontrolowała przybory toaletowe. Pete stał, zagryzając wargę. Przypomniał sobie, jak pani z angielskiego w Liceum Gompersa powiedziała, że łaciński rdzeń słowa *mortyfikacja* to umierać – Pete chciał bowiem paść trupem, tutaj, na wysłużonym linoleum matczynej kuchni. Modlił się, żeby tylko matka niczego nie znalazła, gdy tak przegrzebywała jedwabną bieliznę nowej pensjonariuszki (różową i brzoskwiniową, co też zauważył z ukłuciem winy). Swego czasu pokój na trzecim piętrze prawie został już wynajęty sympatycznie wyglądającej starej panie z akcentem z Jersey, ale gdy mama przeczesywała z kolei jej walizkę, znalazła opakowanie, jak to mówiła, *tych rzeczy* (takich gumowych, które chłopcy z Gompersa kradli starszym braciom i potem się tym chwalili) i rozegrała się przykra scena, po czym kobieta z Jersey została wyrzucona, zanim jeszcze zdążyła się *wprowadzić*, i z portmonetką uszczuploną o ledwie co zapłacony depozyt.

Pete miał nadzieję, że pani Grace March zabawi tu na dłużej.

– Dobrze, zabierz ją na górę. – Pani Nilsson zamknęła walizkę z wyraźnym rozczarowaniem, że nie znalazła w niej nic bardziej złowieszczego od różowego igielnika. – Pospiesz się. Jak już odprowadzisz siostrę do biblioteki, musisz wypielić grządkę pomidorów.

– Tak, mamo – westchnął Pete.

– Dobry z ciebie chłopak – odpowiedziała i uszczypnęła go w ucho, gdy zaczął taszczyć walizkę na pierwsze z trzech pięter.



Drzwi po prawej stronie małego strychu na trzecim piętrze były uchylone, ale Pete i tak zapukał.

– Pani March?

– Och, na miłość boską, skończ z tą panią March. – Zawiesiła głos. – Gdy to słyszę, rozglądam się za teściową, a brak teściowej to akurat jeden z plusów bycia wdową.

– Dobrze, pani M... Pani Grace. – Pete wtaszczył jej walizkę do środka, na nowo zawstydzony tym, jak mały jest ten pokój. Wąskie jednoosobowe łóżko przy ścianie, małe chwiejne biurczko, które służyło jednocześnie za stół do kawy, wytarty fotel... Jego matka nazwała to co prawda *aneksem kuchennym*, ale była to tylko lodóweczka wielkości skrzynki i palnik na górze. Najgorsze z tego wszystkiego wydawały się ściany: odrapane, z marszczącą się tapetą na pochyłym suficie, pomalowane wyblakłą zgniłą zielenią. *Dlaczego zgodziła się pani tu mieszkać?*, chciał zapytać, ale pani Grace wszystko to ignorowała. Powiesiła płaszcz z wielbłądziej wełny, rozsznurowała espadryle, paradując teraz w starej spódnicy z kwiatowymi motywami i związanej w pasie koszuli wyglądającej na męską. Otworzyła okno w drugim końcu pokoju, żeby wyrzucić na plac.

– Czy moja walizka przeszła kontrolę? – spytała bez odwracania się, na co Pete znów chciał paść trupem, ale tym razem posłała mu ponad ramieniem szelmowski uśmiech. – Pośród moich ineksprimabli jest szklany słoik. Powiesz mi, gdzie go mogę wypełnić wodą? – Rozglądała się po pokoju, w którym zdecydowanie brakowało umywalki.

– Łazienka jest na podeście. Znaczący, umywalka i toaleta. – Pete poczuł, jak znowu czerwienieją mu uszy po tym, gdy wobec damy użył słowa *toaleta*. – Jeśli będzie się pani chciała wykąpać, trzeba zejść na

drugie piętro. – Tam gdzie między siódmą a ósmą rano o wannę i lustro rywalizują już trzy kobiety. – Moja rada jest taka – Pete usłyszał swój głos – żeby nie wchodzić między Claire z 3B i Arlene z 3C, gdy zaczną się kłócić o to, czyja kolej w łazience.

– Zapamiętam. – Pani Grace otworzyła walizkę, po czym wysypała ze słoja stos nylonów i bluzek. – Czy mogę cię prosić o nalanie gorącej wody?

Gdy przytaszczył słój, rozlewając nieco wody po drodze, pani Grace wyciągnęła garść torebek z herbatą, które natychmiast trafiły do słoja wraz z zawartością tuzina saszetek z cukrem z całą pewnością pochodzących z restauracji.

– Herbatka słoneczna – wyjaśniła na widok zmieszanego Pete'a, gdy ostrożnie ustawiała słój na słonecznej stronie parapetu. – Trzeba zostawić na gorącej werandzie czy parapecie na trzy godziny. Najlepszy napój na świecie. To stary przepis z farmy w Iowa.

– To stamtąd pani pochodzi? Z Iowa?

– Tak. – Cofnęła się nieco, by podziwiać mieniący się płyn w słoju, ale nie rozwinęła tematu. – Co to za muzyk? – spytała, przekrzywiając głowę i słuchając łagodnego dźwięku saksofonu z *Sentimental You*, który przyniósł do pokoju ciepły powiew wiatru.

– Joe Reiss z pokoju obok. Gra w klubie Amber przy tej samej ulicy. Cały czas ćwiczy.

– Ile osób tu mieszka?

– Jeśli jest komplet, to osiem. – Pete włożył ręce do kieszeni, próbując uśmiechnąć się nieśmiało. – Pozna pani resztę podczas śniadania. Podawanego zawsze między siódmą a siódmą trzydziści – wyrecytował. – Śniadanie wliczone jest w koszt wynajmu, ale sporo pensjonariuszy woli iść do baru Biscuit po drugiej stronie placu. – Poczował się do tego, by dopowiedzieć drugą część. Jego matka oczywiście starała się, jak umiała, ale jej przesmażona jajecznica i niedopieczony bekon (podane na stół punkt siódma i sprzątnięte

o siódmej dwadzieścia dziewięć i pięćdziesiąt osiem sekund) nie były zbyt... no cóż, placków z kuchni naprzeciw po prostu nie dało się przebić.

– Sporo się można od ciebie dowiedzieć. – Pani Grace wyciągnęła paczkę lucky strike’ów, z której wytrząsnęła jednego papierosa.

– Moja mama nie pozwala tu palić. – Pete nie mógł się powstrzymać przed ostrzeżeniem.

– Wiem. – Pani Grace spokojnie zapaliła papierosa, zaciągnęła się głęboko i wypuściła dym przez otwarte okno. – Czego oko nie widzi, tego sercu nie żal.

– Moja mama wie wszystko – oznajmił Pete z przejęciem. Nigdy nie można było być pewnym, że nadchodzi: w swoich papuciach mogła wyskoczyć z każdego cienia niczym zabawka na sprężynce. *Zawsze, gdy zostawiło się płaszcz na podłodze czy po prostu choćby pomyślało się o położeniu nóg na sofie*, jak powiedziała niegdyś Nora Walsh z 4A, ta ładna lokatorka o jasnobrązowych włosach błyszczących w słońcu. Nora miała rację: płaszcz na podłodze czy ślad po bucie na sofie były dla matki Pete’a nie do zniesienia, doszczętnie szargały jej nerwy, jak powiedziałby Mickey Spillane. – Moja mama miała ciężkie życie – oznajmił lojalnie. – Po prostu robi się nerwowa, gdy chodzi o reguły. Wie pani, trudne czasy i w ogóle. – Czasy istotnie były ciężkie: wojna jeszcze całkiem nie przebrzmiała, a już bomba atomowa groziła wysłaniem całej ludzkości w zaświaty, w dodatku wszechobecni komuniści siali zamęt. Przynajmniej tak twierdził senator McCarthy.

– Niech to będzie nasz sekret. – Pani Grace z uśmiechem strzepnęła popiół za okno. Uśmiechała się nawet oczami; były złotobrzowe jak jej włosy i pozostawały półprzymknięte, jakby przyglądała się wszystkiemu z sennym rozbawieniem. – No a czemu to Dom pod Dziką Różą?

– Mama powiedziała, że to brzmi wyrafinowanie i dzięki temu będą trafiały do nas panny z lepszych rodzin. – Napis wykonała

własnoręcznie: DOM POD DZIKĄ RÓŻĄ: ZAKWATEROWANIE DLA PANIEN. Pete myślał jednak, że ich dom był tylko zwykłym domem – wysokim, wąskim, z brunatnego piaskowca – po tej lepszej stronie Foggy Bottom, a nie jakimś wiejskim dworem z serii kryminałów o lordzie Peterze Wimseyu, które czytał zeszłego lata.

– Jak długo prowadzicie pensjonat?

Pete utkwiał wzrok w swoich butach.

– Od kiedy odszedł mój tata. – Czekał na jej reakcję, dorośli zawsze reagowali, ale pani Grace po prostu zaciągnęła się mocno papierosem, rozglądając się jednocześnie po swoim nowym domu: limonkowozielonej farbie, pochyłym suficie, krzesła przy oknie wielkości znaczka pocztowego. – Czyli niedługo. – Pete czuł się zobowiązany ciągle przeproszać, ale pani Grace tylko pokiwała głową.

– To wszystko – zatoczyła papierosem łuk, obejmując słoneczny parapet, dźwięki jazzu, stukot stóp na schodach – ma potencjał.

– Naprawdę? – Pete odnosił wrażenie, że często słyszy to słowo, głównie gdy dorośli mówili, że czegoś nie można *teraz*, może *później*. Spójrz w lustro na swój meszek na podbródku i pomyśl o potencjalnym goleniu pewnego dnia; spójrz na przejeżdżające samochody i wyobraź sobie, że potencjalnie będziesz kiedyś kierowcą. Dla Pete'a słowo *potencjał* tak naprawdę znaczyło *za jakiś, bardzo długi czas*. Może *nigdy*.

– Cały ten dom ma potencjał – orzekła kategorycznie pani Grace. – Tak jak i ty, Pete Przybijaku. – Uśmiechnęła się ponownie i zgasiła papierosa na kamiennym parapecie obok słoja. – A teraz śmigaj. Przyjdź za jakieś trzy godziny. Zdążę się rozpakować, a ty dostaniesz szklankę słonecznej herbaty, po której pomyślisz, żeś w niebie.

Pete uważał jednak, że już tam jest. Wyszedł z 4B, kołyszając się i gwizdząc. Nie zatrzymał się nawet, gdy w lustrze półotwartej łazienki na podeście mignęło mu własne odbicie. *Pete Przybijak*... Może gdyby był najtwardszym detektywem w mieście, nosiłby za paskiem

młotek. Młotek, którym rozbiłby gang Warringa, doprowadziłby do upadku największą przestępczą rodzinę w całym dystrykcie. Wtedy miałyby nie trzynaście, ale trzydzieści lat; twarz zdobiłby mu stylowy zarost o niebieskawym odcieniu, nie jakieś tam pryszczę; na głowie miałby wysłużony filcowy kapelusz, nałożony ukośnie na surowy klif brwi, nie zaś bejsbolówkę Washington Senators.

Tak, niemal to widział. Miał *potencjał*. Powiedziała tak nowa pensjonariuszka.

### *Herbatka słoneczna od Grace*

- 6–8 torebek ulubionej herbaty
- 1 cienko pokrojona cytryna
- miód albo cukier

1. Nalej do szklanego słoja trzy i pół litra chłodnej wody, najlepiej wcześniej przegotowanej.
2. Wrzuć woreczki z herbatą, zamknij słoje i postaw go na słonecznej werandzie lub parapecie. Zostaw na słońcu na 3–5 godzin.
3. Wyrzuć woreczki, posłodź herbatę do smaku miodem albo cukrem.  
Dodaj plasterki cytryny i włóż całość do lodówki.
4. Najlepiej pić herbatę w słoneczny dzień z nowo poznaną osobą, jednocześnie słuchając If I Knew You Were Coming I'd've Baked a Cake w wykonaniu Eileen Barton and the New Yorkers.

*Drogi Tato*, zaczął pisać Pete. Miał właśnie odrabiać zadanie domowe przy stole w jadalni, nie wspominając o pomocy młodszej siostrze przy czytance – matka sadzała go tam każdego wieczoru, żeby rozdawał pocztę wracającym do domu lokatorom – ale Lina

ciągle odrywała się od książki, a Pete pod zadaniem z matematyki pisał list do ojca. Przynajmniej próbował. *Lina cały czas słucha na cały regulator Przygód Ozziego i Harriet. Czy to dlatego nie wracasz do domu?*

Wykreślił to ostatnie. *Lina słucha Ozziego i Harriet i ćwiczy czytanie. Całkiem dobrze jej idzie!*

– Co tutaj jest napisane? – Lina przesunęła brudny palec na trzecią linijkę książki.

– Spróbuj powoli. S-k-a- Co ci to mówi? I reszta: k-a-n-k-a.

Wysunęła dolną wargę. Miała dziewięć lat, a czytała jak siedmiolatka. Nie pomagało, że miała leniwe oko. – Pete przypomniał sobie, żeby używać medycznego terminu *strabismus*. – Ale nie było to bardzo poważne, jedynie niewielkie przesunięcie lewego oka. Lekarz powiedział, że są takie okulary, które mogłyby pomóc, lecz mama odmówiła ich kupna. Za drogie.

– Dam ci wskazówkę – zachęcał Pete, gdy Lina dalej robiła kwaśną minę. – To taka gra, w którą grasz cały czas. No dalej: ska... A reszta?

– Nie wiiiiieeeeem...

– Słyszałam, że mamy nową lokatorkę! – Felicity Orton z 2A wpadła beztrąsko do domu z szelestem krochmalonej halki pod różową spódnicą, balansując miską na jednym biodrze, a małą Angelą na drugim. Ich najnowsze mieszkanki; matka Pete'a wyniuchwała, że musiały się tu wprowadzić bezpośrednio z porodówki. – 4B w końcu wynajęte?

– Tak, pani Fliss. – *Fliss* było angielskim skrótem od Felicity, jak wyjaśniła Pete'owi podczas swojego pierwszego dnia w tym miejscu. Angielski akcent nieco się u niej stracił po prawie siedmiu latach pobytu w USA, ale wciąż był dla Pete'a królewski i egzotyczny. Przynajmniej teraz była panią Fliss, bo *panna Fliss* brzmiało po prostu okropnie! Pete stał, próbując przypomnieć sobie cytaty o różach, które rozmaicie się nazywają, ale pachną równie słodko, a gdy w końcu



ułożył go sobie w głowie, pani Fliss już nie było. – Życzy sobie pani odebrać pocztę? – spytał chwilę potem, rozdając przesyłki, które wcześniej posortował. – List z San Diego.

Uśmiechnęła się na widok pisma męża na kopercie.

– Życzę sobie użyć waszego piekarnika! – Wszystko, co mówiła, wyglądało na oznaczone wykrzyknikami i dołączkami w policzkach. – Pomyślałam, że przygotuję coś dla nowej lokatorki. Myślisz, że lubi biszkopty cukrowe? Ciasteczka – poprawiła się. – Dla was, jankesów, to są *ciasteczka*, nie *biszkopty*.

Lina uniosła głowę znad książeczki.

– Lubię ciasteczka cukrowe – zakomunikowała, wbijając wzrok w panią Fliss.

– Pierwsze ciasteczko będzie dla ciebie! – obiecała Fliss, ale Pete usłyszał w tym radosnym okrzyku nieznaczące westchnięcie. Gdy Lina kogoś się uczepliła, miała tendencję do wpatrywania się w tę osobę przez cały dzień. Przy każdej próbie pozbycia się jej dąsała się i patrzyła wilkiem. Pani Fliss mimo to uśmiechnęła się przyjaźnie, wokół jej pomalowanych różową szminką ust ponownie pojawiły się dołączki. – Ciasto już zagniecione. Potrzebuję tylko dziesięć minut na sto dziewięćdziesiąt. Nie, na trzysta siedemdziesiąt pięć – poprawiła, wzdychając. – Po tych wszystkich latach wciąż myślę w Celsjuszach. Mogę...

Właściwie lokatorkom nie wolno było używać kuchni, ale mama Pete'a naginała niekiedy te zasady dla Fliss, ponieważ była ona bardzo schludna i zawsze zostawiała ciasteczka w podzięce.

– Proszę bardzo – powiedział Pete, pokazując język małej Angeli, na co ta zaczęła gaworzyć. Różowy bobasek zawsze ładnie się prezentował w swym malutkim koronkowym czepku; pani Fliss z radośnie podwiniętymi włosami i szykownymi spódnicami wydawała się jeszcze ładniejsza... Oczywiście była zamężna (jej mąż, lekarz wojskowy, kończył służbę w bazie w San Diego, dlatego obecnie

mieszkała w pensjonacie), ale pachniała cukrem oraz cynamonem i zawsze była dla Pete'a miła, więc nie mógł nic poradzić na to, że tęsknie podążał za nią wzrokiem, gdy śmigała do kuchni.

*Drogi Tato,*

*czy przyjechałbyś do domu, gdyby mama była trochę bardziej jak pani Fliss? Energiczna, ładnie pachnąca i żeby nie krzyczała?*

Pete z grymasem zaniechał pisania listu i zwrócił się ku zadaniu z algebry. Do czego mu w ogóle była potrzebna algebra? Czy Mike Hammer przejmował się takimi rzeczami jak  $a + b = c$ , gdy jakaś niegodziwa gnida postępowała wobec niego nikkzemnie? Nie. Nie przejmował się.

W kuchni za nim rozległ się jakiś hałas.

– Lino, odsuń się trochę, gdy otwieramy piekarnik.

– Pani Fliss, to nie była *moja* wina... – wymamrotała w odpowiedzi siostra Pete'a.

– Słyszałam, że dom pochłonął kolejną ofiarę. – Do pomieszczenia z torebką na ramieniu wpadła Claire Hallett z 3B. Claire pracowała jako sekretarka któregoś senatora na Kapitolu: była duża, bystrooka, uszczypliwa i wygadana, biust rozpychał jej pretensjonalną bluzkę, biodra rozpychały pretensjonalną spódnicę, jasnорude włosy rozpychały się, by zrzucić pretensjonalne wsuwki. – Kogo twoja matka wcisnęła do tego pudełka na buty na trzecim piętrze?

– Nikogo nie wcisnęła – odparł lojalnie Pete. – Pani Grace mówi, że to miejsce ma *potencjał*.

– Chyba pożarowy – zadrwiła Claire.

– Proszę jeszcze nie odpalać silnika – odpowiedział zrędliwie Pete i wepchnął jej do rąk pocztę. Claire przemknęła obok pani Muller z 2B, która właśnie schodziła po schodach. Stara kobieta w spódnicę wyjedzonej przez mole i z twarzą niczym zaciśnięta w gniewie pięść odebrała swoją pocztę, burcząc coś pod nosem. Na pytanie Pete'a, czy ma dobry dzień, odpowiedziała szorstkim *nem*. Pete wiedział już, że

po węgiersku to słowo oznacza *nie*. Reka Muller rzadko mówiła po angielsku, a po węgiersku zwykle tylko *nie*. Następna była Arlene Hupp z 3C, która pracowała w Komisji Kongresu USA ds. Działań Antyamerykańskich i zawsze miała najnowsze plotki o tym, kto się denerwował jako świadek przy podawaniu nazwisk.

– Mówię ci, Pete, ci komuniści. – Arlene pokręciła głową. Kucyk jej zafalował, z torebki wystawał egzemplarz „Counterattack”. – *Opanowali Hollywood*. Powinieneś *zobaczyć* raport *Red Channels*\*. Zostawię egzemplarz twojej matce. – Mój Boże, czy ktoś piecze ciasteczka? Mam nową dietę: zero cukru, zero bułeczek...

W kuchni zabrzączały garnki, Arlene odebrała pocztę i czym prędzej umknęła.

– W porządku, Lino – oznajmiła nieco zniecierpliwiona Fliss. – Włożymy je jeszcze raz...

– To nie była moja wina! – mamrotała nadąsana Lina.

Frontowe drzwi otworzyły się ponownie i, mój Boże, oto ona. Pete usiadł prosto i poskromił chęć wygładzenia włosów. Claire Hallett miała lat trzydzieści, pani Fliss dwadzieścia cztery, a jego najnowszy obiekt zadurzenia, pani Grace, musiała mieć ze trzydzieści pięć, ale to Nora Walsh z 4A była najmłodsza: miała dwadzieścia lat, a siedem lat różnicy to nie jest *aż tak* dużo, prawda? W którymś momencie w ciągu kilku następnych lat jego skóra w końcu się oczyści i wtedy Nora, która pracowała dla Archiwum Narodowego i sunęła przez życie Pete’a w skrojonych na miarę kostiumach z gracją gwiazdy filmowej, zrozumie, że nie jest on jedynie synem pani Nilsson, który robi kostki lodu do pudełek pensjonariuszek, że w rzeczy samej jest już *mężczyzną*.

– Mów mi Nora – westchnęłyby...

---

\* Czerwone Kanaly.

# SPIS TREŚCI

Prolog. <i>Dzień Dziękczynienia 1954. Waszyngton</i> . . . . .	7
Cztery i pół roku wcześniej. <i>Czerwiec 1950</i>	
1. PETE. . . . .	11
<i>Dzień Dziękczynienia 1954. Waszyngton</i> . . . . .	52
Cztery lata wcześniej. <i>Listopad 1950</i>	
2. NORA . . . . .	55
<i>Dzień Dziękczynienia 1954. Waszyngton</i> . . . . .	135
Trzy lata wcześniej. <i>Październik 1951</i>	
3. REKA . . . . .	139
<i>Dzień Dziękczynienia 1954. Waszyngton</i> . . . . .	192
Dwa i pół roku wcześniej. <i>Luty 1952</i>	
4. FLISS. . . . .	195
<i>Dzień Dziękczynienia 1954. Waszyngton</i> . . . . .	253
Dwa lata wcześniej. <i>Styczeń 1953</i>	
5. BEA . . . . .	257
<i>Dzień Dziękczynienia 1954. Waszyngton</i> . . . . .	314
Półtora roku wcześniej. <i>Czerwiec 1953</i>	
6. CLAIRE. . . . .	317
<i>Dzień Dziękczynienia 1954. Waszyngton</i> . . . . .	383
Dziewięć miesięcy wcześniej. <i>Marzec 1954</i>	
7. GRACE . . . . .	387
8. ARLENE . . . . .	453
9. <i>Dzień Dziękczynienia 1954</i> . . . . .	472
Epilog	
PETE. <i>Maj 1956</i> . . . . .	487
Notka historyczna . . . . .	493
Podziękowania . . . . .	507
O autorce . . . . .	509